

Sceny z życia pozamałżeńskiego

Łukasz Maciejewski

On (Tomasz Schimscheiner) to lekko szowinistyczna ciapa, ona (Karolina Stefańska) jest nierozgarniętą modliszką. W tym układzie zła kobieta przejmując władzę nad podłym mężczyzną. Ale zwycięstwo jest zwodnicze. Bo ciapulek w pewnym sensie upokarza harpię, odbierając jej kobiecość.

Davidowi Mametowi, jednemu z najciekawszych dramaturgów i reżyserów amerykańskich, w opartej na faktach sztuce napisanej na początku lat 90. ubiegłego wieku, chodziło o wskazanie niebezpieczeństw tak zwanej „poprawności politycznej” wpisującej się z kolei w kontekst kwestii molestowania seksualnego, szeroko komentowanego za prezydentury Billa Clintona.

Pierwsze wystawiania „Oleanny”, m.in. w londyńskim Royal Court, wywołały burzliwą dyskusję. Mametowi, wykorzystującemu banalną w gruncie



Karolina Stefańska i Tomasz Schimscheiner

rzeczy story o naukowcu adorującym nieszczególnie lotną studentkę, która wykorzystując obiektywnie słuszne prawo do integralności własnej płci bezwzględnie mści się na pryncypale, udało się zawrzeć niepokojącą tezę o paradoksalności każdego dogmatu. Carol postępuje w zgodzie z własną logiką,

ale John jest ofiarą. Nie zasłużył na taką zemstę.

Znaczący jest już tytuł sztuki. Nie chodzi o imię bohaterki, tylko o nazwę osady w Pensylwanii, założonej w połowie XIX wieku przez skrzypka, Ole Bulla, emigranta z Norwegii. Oleanna, o której śpiewał u nas niegdyś John Porter, miała być krainą

szczęśliwości. Rajem na ziemi. Nie stała się z nią. Bull musiał wracać do Norwegii. Sielanka nie jest bowiem możliwa. Idylliczne prawo nie istnieje. Również prawo płci.

„Oleanna” wystawiana była w Krakowie już kilka razy. Polska prapremiera sztuki w reżyserii Paula Lamperta odbyła się w 1994 roku w Starym Teatrze (Carol grała wówczas młodzieńca Beata Fudalej), w 2004 roku na scenie „Fundacji Starego Teatru” sztukę wyreżyserował Giovanni Castellanos. Kinomani pamiętają jeszcze być może filmową wersję „Oleanny” wyreżyserowaną w 1994 roku przez samego Mameta.

W przedstawieniu w reżyserii Andrzeja Sadowskiego nie ma politycznego zaangażowania. W ogóle trudno mówić o jakimkolwiek napięciu. Zamiast sztywności z poprawności politycznej, oglądamy dosyć siernie zaażarowane „sceny z życia pozamałżeńskiego”. Tomasz Schimscheiner gra sympatycz-

negu faceta tuż przed zasłużonym awansem i zakupem wymarzonego domu.

Niestety, na jego drodze staje rozwyrzona debilka. Studentka z wyzywającą szczerością wyznaje, że nie rozumie niczego z zajęć, profesor docenia jednak jej nogi, co kilka minut dzwoni także jego żona, do której zwraca się per: „kotku”. Jednak Carol tylko pozornie jest typową słodką idiotką. Przypuszczalnie nie wie kto to był Schopenhauer, ale swój rozum ma. Oskarży profesora o molestowanie seksualne, zemści się za jego błyskotliwość. Ale czy zwycięży?

Andrzej Sadowski nie bawi się w subtelności. Sympatia publiczności od początku jest po stronie Johna. Karolina Stefańska nie dostała żadnej szansy na obronę postaci. To tylko przykra kultura mszcząca się na bogu ducha winnym profesorku. Idiotka zostanie jednak przykładnie ukarana. Dostanie po dupie i po krzyku. Lekcja tolerancji ma w końcu swoje granice.